Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 10. Poznań dnia 3. Czerwca. 1839.

Literatura zagraniczna.

Bióro Gazeciarza Paryzkiego.

Łaskawy czytelniku, którego tak wysoko szacujemy, ty opiekuńczy duchu gazety, a zwłaszcza kiedy nietylko umysłowym, ale i materyalnym sposobem opiekę swoję okazujesz! widzimy cię siedzącego w twoim wygodnym krześle, w szlafroku i pantoflach, jak się od niechcenia do czytania gazety zabierasz. Rozkładasz pismo, donoszące ci codzień, co się we wszystkich pięciu częściach, świata nowego wydarzyło, szukasz w niem najświeższych wojennych buletynów, belletrystycznych, literackich, naukowych doniesień, giełdowych i teatralnych nowości, pożarów, kradzieży, zabójstw, osobliwych przygód i ciekawych kuryozów — a posłuszna twym rozkazom gazeta, wywiedziawszy się o wszystkiem jak najdokładniéj, na każde twoje pytanie odpowiedzieć umie. Winieneś przeto wdzięczność téj gazecie, która cię uczy, co masz odpowiedzieć na owo ważne pytanie: „co tam nowego?“ Z jéj łaski masz obfitą materyą do rozmowy z ludźmi, jakich najwięcéj na świecie.

Ale kiedy, nieoszacowany czytelniku, siedzisz sobie wygodnie w pantoflach i w szlafroku nad gazetą; czy ci też kiedy przez myśl przeszło, dowiedzieć się, jakim sposobem powstaje zjawisko, z tak różnorodnych złożone żywiołów i trzysta sześćdziesiąt razy w roku dochodzące rąk twoich? Czybyś się nie chciał dowiedzieć, jak peryodyczna prassa, stawszy się w naszych czasach potęgą, codzień swoje olbrzymie wyciąga ramiona? Maszże jakie wyobrażenie o gazeciarskiem biórze, owéj wulkanicznéj kuźni, w któréj powstaje owa potęga od innych mocarstw spotwarzona, a któréj się przecie wszyscy z bojaźni lub interessu łaszą? Gazeta jest orędowniczką prawdy, albo trąbą kłamstwa, narzędziem do dobrego lub złego: ona zwaliła nie jeden kolos, ale i ona podobno jest zdolna nową najpiękniejszą z gruzów wznieść budowę.

Gazety podobnie jak wiele innych rzeczy i ludzi, nie były tem dawniéj, czem są teraz, a ich początki są bardzo skromne. Nawet w czasie rewolucyi francuzkiéj, lub cesarstwa nie dochodziły wielkości teraźniejszych tak nazwanych małych Żurnali. Praca więc naszych poprzedników i przez połowę tak trudną nie była. Kilka ich numerów zmieściłoby się na jednę naszę olbrzymią stronę. Jakżeby się owi nieboszczykowie zdumieli, ujrzawszy nietylko sążnisty format, ale nadto tyle okazałości, tyle blasku stylowego, w artykułach na wieczne zapomnienie w swym zarodzie wskazanych.

Ale czas już jest, wnijść do świątyni gazeciarskiéj: świątyni, z któréj się wyrocznie na wszystkie cztery okolice świata lotem błyskawicy rozchodzą. A najprzód wiedzieć trzeba, że peryodyczna prassa, pomimo swego wysokiego znaczenia i swéj despotycznéj władzy, nie ma ani szyldwachów, ani galonowych odźwiernych; jeden albo dwaj dziarskie chłopaki stoją w przedpokoju, gotowi na każde zawołanie do posyłki. Wchodzimy teraz do samego pokoju, którego najgłówniejszą ozdobą jest długi, zielonym suknem przykryty stół, mniéj więcéj atramentem zbryzgany, niezatarte ślady zaciętych, choć nie krwawych gazeciarskich bojów. Po ścianach wiszą geograficzne karty. W szafie spoczywają grube foliały: zbiory gazet, słowniki i inne tego rodzaju gazeciarskie podręczne sprzęty. Nad kominem stoi flasza z wodą, z dwoma lub trzema szklankami. Na stole widać w znacznéj liczbie kałamarze i piaselniczki, ostatnie nie złotym, ale zwyczajnym piaskiem napełnione, wszystkie nowe peryodyczne pisma obok siebie złożone w najlepszéj zgodzie.

Jest godzina czwarta. W biórze redakcyjnem, któreśmy właśnie opisali, siedzi czterech albo pięciu pilnych pracowników, zaczynających układać jutrzejszy numer. Ten, który się niekiedy do kart geograficznych obraca, i pisane albo litografowane korrespondencye przed sobą rozwija, jest redaktorem spraw zagranicznych. Ugania on się za Cabrerą, nie spuszczając atoli i Marotty z oka. Jest przymuszony, choć mieszka w Paryżu, prawie całkiem żyć na półwyspie, tam obozuje, jeździ na czaty, stacza krwawe boje. Wart dla swych strategicznych

wiadomości i zręcznego godzenia podań często zupełnie przeciwnych, bardziéj krzyża, niż nie jeden junak, co nie powąchawszy prochu, dla tego, że miał plecy, nie wiedzieć jakim sposobem tego zaszczytu dostąpił. Rozumie się samo przez się, lubośmy tego wyraźnie nie powiedzieli, że mówimy o gazecie, która przecie ma jeszcze jakowyś wzgląd na prawdę i szacunek dla publiczności. Jakoż jeżeli redaktor spraw zagranicznych nie przyjmuje do swéj gazety kłamliwych i niedorzecznych doniesień, które niektóre gazety w dobréj wierze powtarzają; natenczas nie tak łatwe to jest zadanie, między tylu sprzecznemi i przesadzonemi doniesieniami zbliżyć się do prawdy. Drugi redaktor objął wewnętrzne sprawy i politykę i do niego należą zmiany ministeryum, posiedzenia izb. Jego rzeczą jest, mieć na oku bohatyrów efemerycznych w polityce, zagajać izby, rozwięzywać najzawilsze ministeryalne dyskussye, intrygować, latać wszędzie, zazierać za polityczne kulissy, jadać nawet i sypiać z panami Molé, Thiers, Dupin, Guizot, podsłuchać ich osobliwie w prywatnych konferencyjkach i t. d. Konstytucyjna i reprezentacyjna atmosfera jest jego żywiołem, którym oddycha, a do tego potrzeba płuc mocnych.

Do najużyteczniejszych sprzętów na stole należą dwoje nożyc; jest to buława gazeciarzy, za pomocą, których rozmaite wydarzenia w stolicy lub na prowincyi zdatne do gazety, z innych czasopismów bez litości wyrzynają. Ten urząd zdawałby się na pierwszy rzut oka, nie zbyt trudny, ale rzecz się ma przeciwnie. Trzeba posiadać wiele przenikliwości i taktu, aby poznać, co się święci. Najtrudniéj jest opędzić się nawałowi rozmaitych polecających doniesień, które się pod tysiącznemi kształtami do gazet wkradają, raz, aby nie opłacić kosztów insercyjnych, potem aby tym łatwiéj zwrócić na się uwagę oszukanych czytelników. Nie można sobie tego wystawić, jakie kształty przybiera przemyślny Francuz, aby trafić do worka publiczności: fraszka Cyrce i najsławniejsze czarnoksiężniki. Raz jest to rój pszczół, który dziwnym sposobem usiadł na łuku przy *pont neuf* naprzeciw kawiarni *Royal*, g d z i e s ą w y b o r n e l o d y, i na które zjawisko natury zwraca się uwaga badaczów i światłéj publiczności. Drugi raz jest to mularz, który spadłszy z wysokiego rusztowania, zawdzięcza swoje życie jedynie biegłości w sztuce lekarskiéj sławnego doktora N. N. przechodzącego tamtędy — przypadkiem. Przeszłéj zimy zamarzła Sekwana całkiem przy Bercy i wielu ludzi przechodziło po lodzie, pomijając mostowe. Wnet czytaliśmy w gazecie rozczulającą historyą o pięciu nieszczęśliwych, którzy obok mostu Bercy załamawszy się na lodzie, utonęli wszyscy, nie zostawiwszy po sobie najmniejszego znaku. Szkoda tylko, że cała ta okropna historya była puszczonym postrachem przez Akcyonaryuszów mostowego.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Od poetów. *)

(Odpowiedź.)

Ja lubię was poeci! — chociaż wasze lutnie
Trącone łzami brzęczą ponuro i smutnie.
O! wszakże dziecię kwili na ten świat przychodząc,
Bo chyba tylko szatan rozśmiałby się rodząc!
Lecz człowiek, co wybujał myślą po nad zwierze,
Co w zamian, za lat kilka, nieśmiertelność bierze;
Pożegna świat z uśmiechem, dumnie, obojętnie,
Bo nad świat człowiek mądrość pokochał namiętnie.
Mądrość, owoc najsłodszy z owoców téj ziemi,
Która jak Bóg pomiędzy Aniołami swemi,
Słońca swego promieniem pośród nocy cienia,
Drogą szczęścia prowadzi ludzi do zbawienia! —
O! niechaj mądrość ludzka zakwita w swéj sile,
Niechaj rozbudzi kości zaspane w mogile;
Bo kto z słowa mądrości na ten świat poczęty,
Ten niechaj jak to słowo będzie wielki, święty!
Niech prawdą jak piorunem z spleśniałego świata
Z ufnością w Bogu przodków śmiecie poobmiata!
A wtedy serce czyste z samolubstwa brudu,
Chociaż ziębnie dla siebie, zapłonie dla ludu.
I choć mu przyjdzie połknąć gorzki owoc w życiu,
Będzie błogie, spokojne, jak dziecię w powiciu.
Bo tylko szczęściem drugich nasze szczęście kwitnie,
Bo tylko śniąc zbawienie, zbudzim się zaszczytnie.

Gdy Odkupiciel przyszedł — powiedział do tłumu:
Uwierzcie w Boga, w mądrość, bom dla was rozumu
Nieuskąpił, by w szczęścia ustroić was kwiecie.
Pragnijcie dobra bliźnich jak swego pragniecie,
I nadzieją swobody do grobu z powicia
Karmijcie duszę, zwiędłą cierpieniami życia.
Miłujcie, o! miłujcie płomiennie świat cały,
Niech odżyje młodością ten starzec zgrzybiały.
Lecz nie rzekł: wierzcie! bowiem szczęście w omamieniu
Ukryte jak diament w błyszczącym kamieniu.
O! nie — prawdę jak świecznik postawił na przodzie
Przedewszystkim, jak miłość ojczyzny w narodzie!
My tę prawdę, tę miłość pojęliśmy społem,
Ona jak gwiazda swobód błyszczy nam nad czołem.
I chociaż pieśń rozpaczna z zbolałego serca
Przejdzie czasem wśród ludzi, jak dziki morderca;
Choć łza pada z powieki jako ukrop wrząca,
Targa się dusza z bolu swobody pragnąca.

*) Zobacz Nr. 4. tomu drugiego Tygodnika literackiego.

Ale z łez, jak z popiołów może iskra błysnąć,
Możem zabrzmieć weselem i świat ten uścisnąć.
Lecz dziś, jak serce stroić na weselne tony,
Kiedy w koło bez końca brzmią pogrzebne dzwony? . .

D. 26. Kwietnia 1839. r. *E. W.*

Moja pieśń.

Wypłyń z duszy brzmiąca pieśni
Gorżką nutą boleść struj,
Śród téj głuchéj ziemskiéj cieśni
Jedyny rozdźwięku mój!

Jak tu martwo, sępno, głucho,
Jakby świat już trupem był!
Zabrzmij życiem w moje ucho!
Strąśnij ten uśpienia pył.

Niech rodzinnych duchów głosy
Zawtórują w silny chór,
Niechaj pieśń wśród rannéj rosy
W mój rodzinny huknie bór.

Kiedy ludzie zamartwieli,
To w przyrodzie słucha Pan.
On uczucia me podzieli,
Gwiazdzisty rozplecie wian.

I spuści gwiazdkę sierocie
Po promieniu, z pieśnią, w lot
Przebujawszy słońców krocie,
U niebieskich stanę wrot.

Zaśpiewam ziemian niedolę,
Łzą zaprawię każdy dźwięk,
Wszystkie braci moich bole
W jeden wielki zleję jęk.

Pan gniewne rozjaśni czoło,
Gromem wstrząśnie martwy świat,
A tęczą łaski w okolo,
Zabłyśnie w milion lat!

D. 20. Kwietnia 1839. r. *F. Z.*

Wspomnienie snów.

(Z moich pamiętników.)

Czyż sny do zdarzeń życia nie należą? Może nie, — u tych ludzi, u których sen jest ciężki, przerywany, u których marzenia są niezrozumiałym i urywanym dalszym ciągiem życia; ja, że w nocy marzę często, marzę długo, marzenia nocne za drugą dziwniejszą, kto wie, czy nie szczęśliwszą część życia mojego uważam i do zdarzeń je liczę i jak wypadki pamiętam. Komuż nie miło wspomnieć tego dziwacznego życia we śnie, w którem myśl wolna od krępujących ją we dnie więzów wypadkowych, leci z końca w koniec świata i nas z sobą przenosi; gdzie tyle mglistych postaci przesuwa się przed nami, tylu zmarłych wskrzesza, tylu nigdy nie widzianych rodzi. Tamto życie wolne jest, jak myśl — niestety — niezawsze! czasem ciało uparte, gdy wola usypia, niechce być myśli posłusznėm i usiłowanie wydania krzyku, poruszenia się, budzi nas lub męczy — czasem długo bezwładne ciało walczy z potrzebą odmiany położenia, a człowiek jak trzecia osoba téj walce jest przytomny. Czasem we śnie latamy, jak ptaki po powietrzu, widzim z góry świat nasz, żeglujem po chmurach — i budzim się w łóżku, jak wszyscy poeci. Ach, sen jest piękną poezyą, nieporównaną poezyą. Jeden go tylko Hoffmann zrozumiał, który z takim talentem sny i marzenia senne mięsza do życia swoich osób. W nim, jak w najpiękniejszym śnie mistrzowską ręką pomięszane są dziwactwa, wyższe pomysły, charaktery prawdziwe i przesadzone, śmieszności pospolite, których sama trywialność wybornie odbija od ossyanicznych barw wyższéj poezyi.

Wieleż to razy sen najpiękniejszy zmięsza przypomnienie nagości w jakiéj człowiek idzie do łóżka i którą przez sen czuje. Jak to śmiesznie! jak często śni się sala balowa, światła, muzyka, tańce, strojni mężczyzni, strojniejsze panie, a nagle w tem jeden rzut oka na siebie rozbija złudzenia, widzim się w stroju nocnym, boso, w szlafmycy, wśród tak świetnego zgromadzenia. Nieraz to całe zgromadzenie skutkiem odbicia się myśli boso też i w koszuli przed sennym występuje. Któż policzy odmiany dziwactwa, kto policzy te dźwięki umierającéj myśli, któréj ostatnie tony drgają po rozdraźnionym mózgu. Na obrazy snów składają się rysy z całego życia, od najdawniejszych wspomnień; wszystko to się połącza, zaczepia, jedno wyprowadza drugie i ten łańcuch wyobrażeń często wolą niepochwycony na jawie, we śnie sam się długo, aż do ostatniego wywinie ogniwa. Prawdziwie niewiem, czemu Hamlet bał się marzyć!

Najpierwszy sen, który zapamiętam z dzieciństwa, był zapewne skutkiem bajki mojéj niańki, jednéj z tych strasznych bajek, których echo tak długo się odzywa po mózgu i dźwięczy, a czasem na zawsze w nim zostaje. W tym śnie oglądałem szatana *in persona*, czerwonego jak płomienie piekielne, widziałem go stojącego na ganku, już niewiem, po co on tam przyszedł i co robił, lecz takem się go przeląkł i na tak długo, że go do dziś dnia pamiętam.

Drugi sen mój niewinny, jak sielanka Gessnera, jak pasterski romans Floryana, jak nudna włoska XVIII. wieku opera, który sobie zaraz sam wytłumaczyłem, pa-

miętny mi jest tém, że mi się jego proroctwo nie sprawdziło.

Śnił mi się krzak róży, na którym był kwiat jeden rozkwitły i piękny; zbliżyłem się, aby go zerwać, ściągnąłem rękę i kwiat się rozsypał. Zwyczajna we snach postać starca siwobrodego, który w podobnych snach zwykł się od niepamiętnych czasów pokazywać — rzekła mi na ów czas: Takie twoje przeznaczenie! Że byłem w ówczas po piętnastoletniemu rozkochany, wytłumaczyłem sobie ten sen, stósując go do okoliczności. Ale cóż? róża się rozsypała wprawdzie, gdym ja jéj już ani zrywać myślał, ani się dotknął, widziałem ją umierającą, lecz cudzą i z daleka. To niech nauczy, jak szanować proroctwa. Wprawdzie wiele w życiu mojem nadziei, jak ta róża się rozsypało i pewnie się jeszcze rozsypie — ale one nie były różą snów i dumań moich, były to powszednie kwiaty, którym zawsze jesień i zawsze wiosna, co się codzień rozwijają i codzień więdną i rozsypują. Powiedziałem, niech to będzie nauką, bo w istocie chciałbym jakąkolwiek nauką tą próżną zapewne gawędę uzbroić, gdyż się jéj trochę wstydzę. Raz także przez sen, choć w ówczas jeszcze wielkobrzmiącego, a mało znaczącego panegiryku p. Alfonsa Royer *Venecia la bella* nie czytałem — śniła mi się Wenecya! Ale jakaż osobliwsza! Angielski nawet sztycharz swem rzemieślniczem rylcem nigdy podobnie jéj nie skarykaturował; — Wenecya biała, schludna, ulice brukowane, woda mętna między niemi i skąpa, mury wysokie bez okien, kościoły puste i bez ozdób. Nie było tam we śnie, ani lwów Ś. Marka, ani téj osobliwszéj świątyni byzantyjsko-gotyckiéj, ani gondoli, ani maskarady, ani całego poetyczego ubioru królowéj Adryatyku. Owa Wenecya moja była nędzną mieściną murowaną, pełną wody i murów, a jakkolwiek dziś umarła, jeszcze jest żywsza od snu mojego.

Najdziwniéj śniło mi się raz — skończenie świata wcale oryginalne, jakiego dotąd poeta żaden nie wymyślił. Widziałem, jak szkliste chmury oświecone blaskiem księżyca, zamarzły nad głową i niebo pękać na wpół zaczęło. Po szparze czarnéj na niem i łoskocie domyśliłem się, że to świata skończenie, gdy lody na głowy się nam zwalą, pobiją wszystkich i skorupą swoją ziemię przykryją. Potem nowe cudo — z za lodów pękających ukazało się czarne nad głowami błoto, w którem bełtały się żaby, węże i jaszczurki, przyszli zapewne ludzi następce, na ziemi; — strach przejmował. — Dałem alarm wszystkim. Było to w jakiemś mieście; zadzwoniono, wszyscy się zbiegać zaczęli; urzędnicy w mundurach (!) na tą uroczystość wystąpili, kobiety przestraszone, ja w szlafroku i jakiś dobrze mi pamiętny Niemiec w pończoszkach i trzewikach, którego dotąd na jawie nie miałem szczęścia poznać, uchodzący za ateusza i niedowiarka. Pamiętam dobrze, żeśmy na niego wszyscy ciekawi patrzyli, czekając, aż niebo runie, i uważali, czy w téj chwili nie straci przytomności ze strachu, lub się nie nawróci; ale on, widząc to, silił się na wesołość, skakał i tańcował. A tym czasem, gdy urzędnicy w paradzie do kościoła idą, ja pod jakiś portyk się tulę, żeby nie widzieć nieba mającego runąć i nas zgnieść i przywalić. Słychać coraz większy łoskot, szmer i syk żab i wężów — niebo i błoto pada nam na głowy — a ja się budzę! — przecież!

Nie byłem nigdy w starym Radziwiłłowskim Nieświeżu, a jednak śnił mi się Nieświeź bardzo dziwnie. Widziałem tam ruiny wielkie, jakich zapewne i niema; długie kolumnady zwalone, wielkie zarosłe dziedzińce, pustynię podobną do owych ruin Grecyi, koło których pasterze i stada gryzą dzikie chwasty, pytając się sam siebie, gdzie się podziało ztąd życie, gdzie ręka, co to stworzyła. Widziałem we śnie trzy dziedzińce zamknięte nieświeżskiego zamku; — w jednym było pełno trupich kości siedzących i rozmawiających, głowy ich ubrane były w szyszaki, w ręku mieli szable, ruszali się i rozmawiali z sobą żywo. Wśród nich stał tort świeży różowy na zasłanym stoliku; — co on tam robił? tego wam niepowiem. Przysięgam tylko, że tak było i że to nie allegorya, bo allegoryą się brzydzę, jak osmym grzechem śmiertelnym. W drugim dziedzińcu leżały szkielety koni, równie żywe, ruchawe i targające się, jakby się za mury wysokie, które ich opasywały, chciały wyrwać i lecieć na bój, na łowy, do stada, na łąki. — W trzecim dziedzińcu były niezliczone szeregi powozów różnych odprzężonych i skamieniałych. W jednéj izbie wielkiego gmachu znalazłem jakieś kobiety piorące bieliznę nieboszczyków panów, potem woźniców, którzy czyścili stajnie nieboszczyków koni i księdza nareście który na samem poddaszu, w wielkiem kotle mieszając kijem, gotował stary brewiarz. Co on tam z niego chciał otrzymać, niemogłem się dowiedzieć. Potem jakby cudem ożyły te ruiny, wyrosły sale ozdobne, przybyli goście i znalazłem się już zupełnie gdzieindziéj.

Ileż to razy przeglądałem przez sen archiwa i starożytne składy dokumentów, drżąc z radości, gdym znajdował w nich drogie historyczne pomniki. Niestety — moje wielkie odkrycia tylko się we śnie trafiały. Ale któż liczy wszystkie marzenia, rozkosze, złudzenia, rozbijane obudzeniem! Jakże to potem zimny świat się nasz wydaje wracającym z téj wędrówki! Chodźmy spać! —

J. J. Kraszewski.

Omelno 1839.

Ogrody i poeci.

Powieść.

Die Schriftstellerei ist, je nachdem man sie treibt, eine Infamie, eine Ausschweifung, eine Tagelöhnerei, ein Handwerk, eine Kunst, eine Tugend.
Schlegel.

O pieśni gminna!
Wallenrod.

Było to w Maju, — było to na Ukrainie; — wszystko jedno, jakbym zaczynał powiastkę moję na sposób wschodni: było to w miesiącu Róży i Słowika, w sadach Alhambry lub Kaszemiru.

Kto oddychał tamtem powietrzem, kto się dał oczarować téj dziewiczéj ziemi, nie posądzi mnie o przesadę.

Jak inne niebo w Neapolu, tak insza wiosna na Ukrainie. Nie jest to wiosna ani w ciemnéj szacie borów Polesia; ani w płowym całunie piasków Mazowsza, ani w lodowatym wieńcu tatrzańskim. Ukraina na wiosnę, to kielich jednéj róży, nieustannie rozwijającéj liście — nieustannie woniejącéj, pieszczącéj roje motyli, słuchającéj roje słowików. Ukraina, mało powiedzieć, płynie miodem i mlekiem. Stary Trembecki myślał gdzieś o swoich zdrowych i niezdrowych pokarmach, kiedy na Ukrainie widział tylko miód i mleko. Ukraina płynie tysiącem barw tęczowych, tysiącem woni, tysiącem dźwięków, tysiącem myśli uczuć; w płodnéj przyrodzie bujne być muszą i myśli i uczucia.

Powtarzam, było to w Maju, było to w Zofijówce. Ale w Zofijówce nie było nic Ukraińskiego prócz słońca i nieba. Tu platan szerokolistny podnosi dumne czoło, jakby stał w Atenach, tam wierzba babilońska płacze, — ponury cyprys ocienia grobową kolumnę; rzędem stoją pomarańcze, cytryny, granaty, jako serajowe piękności wzdychające za rodzinnym krajem, — a niżéj — kwiaty wszystkich wiosen przeglądają się w marmurowych sadzawkach, niby chcące się dowiedzieć, jak dużo im z wdzięków ubyło. Ruczaj błąkający się niegdyś na dnie ciemnego jaru, ów ulubieniec pastuszka i trzody, dziś jak Anijo w Tivoli, rozbija się po ogromnych granitach. Polne głazy, na których niegdyś starzy ojcowie stawiali objety Ładzie lub Kupale, porosły w piętra, w łuki, w labirynty Pauzylippu, lub w groty Fingala.

Mechanik Metzel cuda te potworzył milionowemi skarby tulczyńskiego magnata. Dziś on w mundurze byłego officera artylleryi narodowéj, przechadza się od samego świtu pomiędzy uzręcznionymi ukraińskimi chłopami, którzy pracują w ogrodzie. Jak przedsiębiorca teatralny w dniu przedstawienia nowéj opery, niecierpliwi się, miesza — oblicza tryumfy i niełaskę publiczności, — tak i on — z całą niespokojnością, która tryumf poprzedza, oczekuje przybycia gości znakomitych. Czynnie krzątała się czeladka. Ścieżki trotoary — wysypywano drobnym żwirem i piaskiem, zmiatano, i polewano gazony, oczyszczano greckich bożków i półbożków zimnych śród żyjącéj przyrody, jak marmur z którego wykute.

Jednakże ze skał spiętrzonych niespadał jeszcze grzmiący wodospad. Tetys nie zeszła do swego chłodnika, a jasna szyba sadzawki, nie myślała trysnąć w tęczowe łuki. Bo też przyroda tego ogrodu, nie zawsze lubi igrać swoją pięknością; istna to gamratka, która na zawołanie umie i śmiać się i łzy wylewać i każdym wdziękiem nęcić do rozkoszy, — a potem — samotna — zapada w smutek, w melancholią, otrętwienie. — Zofijówkę, bez szumu fontan, bez wodospadów mieniących się tęczą, bez szklannych chłodników, mruczących zdrojów, bez gadającego echa w podziemnych jaskiniach, wziąłbyś raczéj za ogrodową galeryą, — takie tam nagromadzenie przedmiotów — taki labirynt ścieżek, takie mnóstwo pieczar, pomników, kiosków — osobliwości. Za każdym krokiem poznać tu myśl magnata klassycznym przepychem salonu chcącego zaćmić przyrodę, a jaką jeszcze przyrodę — ukraińską! z jéj stepami szerokiemi jak promień oka, z jéj Bohem i Dnieprem śpiewającym po granitach na nutę Bojanową, o rycerzach Włodzimierzowych, o Bolesławach, o Bohdanie, Niczaju, o Koliszczyznie, — z jéj cerkwiami, krzyżami, mogiłami!

Około jedenastéj przed południem, kiedy ogród uprzątnięto, jakby z płatka wywinął, dano znać Metzlowi, iż pan hrabia z całym dworem swoim z Humańskiego wyruszył pałacyku. Za chwilę przybędzie on oglądać po raz pierwszy tego roku to ziemskie cudo, i jakiemuś rzadkiemu gościowi okazać je w całéj pełności, w całéj krasie wiośnianéj.

„Puścić fontannę! — puścić wielki wodospad!“ krzyknął Metzel, jakby dowodził baterya. I natychmiast wody zebrane w górnym stawie puszczone z grzmotem podziemnym leciały, kędy ich przemysł hydraulika skierował, leciały, aby rozbić się w miliony kropel, w mgłę jesienną — aby w niebo strzelić kolumną, i spłynąć brylantowym deszczem, aby wylać się w gładką szybę, jak weneckie zwierciadło.

Grono przydworne tulczyńskiego królika, złożone z kilkudziesięciu osób, napełniło ulice parku. Sam pan przodkował wszystkim, z jednéj strony miał najpiękniejszą kobietę, zwieszającą się na jego ramieniu, a z drugiéj szedł jakiś siwy i poważny mężczyzna, — za nimi grono młodych paniątek, kuzynki, kuzynowie, artyści, kilka intrygantek i intrygantów francuzkich, poplecznicy z gotową szablą do obrony imienia i honoru pańskiego,

rezydenci, rodzaj ludzi, których zasługi tajemnica pokrywa, — trefnisie uprzywilejowani, zasłużeni i zasługujący się dworacy, — wreszcie mnóstwo przybyłych ze świata gości zwabionych otwartemi stoły i rozkoszami tulczyńskiego dworu.

Wszystkiem, co tylko przepych i zbytek wyszukać może, błyszczało to grono. Widziałeś tam powiewne pióra, koronki flandryjskie, szale z kaszemiru: śród mnóstwa brylantów, pereł, orderów i pierścieni. Wschodnia fantazya naszych magnatów, lubowała się w takich przedmiotach; nie jeden z nich, jak paw jaki roztaczał ogon swego dworu, i pyszny stąpał — i dumnym okiem powodził — zawieszał myśl na każdéj błyskotce, puszczał ją, że tak rzekę, że złotą nicią litego pasa, która nieginąc, zawsze na wierzch wypływa; lecz drżał przed głębią, bo tam straszno i czarno, a pan miałby noc bezsenną. —

Ale pan, jakże dziś wesoły! pojrzyj na jego czoło, — ten zmarszczek, który je na pół przekrawywał, jakby w tem miejscu wbity był ćwiek myśli jakiéj piekielnéj, mózg wygryzającéj, zawieszonéj przed nim, jak zasłona, — wygładził się, a nawet i usta ze znamieniem dumy, przeciągnęły się w uśmiech.

„Brawo, Metzel! brawo!“ — zawołał pan — „dodałeś jeden jeszcze brylant do klejnotów mego domu!“ — i przyjaźnie uderzył go po ramieniu. — „To Fraskaty, — Tiwoli — Carskie sioło!“ zawołały kobiety lubiące zagraniczne porównania. „To ogród Armidy! to raj odzyskany! wykrzyknął ów siwy poważny mężczyzna, szambelan Trembecki, a grono czcicielów muz, jak echo powtórzyło za nim: „To ogród Armidy! to raj odzyskany!“ — „Nie, Mościpanowie!“ przerwał dworny poeta, niby poprawiając się w błędzie: „płaskie nasze aluzye do cudzych bogin i bogów,“ i obrócił się do najpiękniejszéj kobiety: „Bóstwo ogrodu przebywa tu między nami, za cóż nie mamy powiedzieć: najpiękniejszéj Zofii, najpiękniejsza Zofijówka!“ I najpiękniejsza kobieta lekko wachlarzem trąciła szambelana — poetę, jakby go pasowała na rycerza dworu miłości, i pan Szczęsny ścisnął go za rękę, jakby wiecznie chciał przykuć do progów swego pałacu.

„Trafnie się znalazł szambelan! co za dowcip! to Wolter Polski!“ poklasnęły piękne dowcipy. — „Szambelanie!“ mówił półgłosem jeden z wytrawnych pochlebców, odciągając go na bok, „teraz szambelanie pora z jakim rymem wystąpić, ugodziłbyś w myśl hrabiego.“ — „Wielkie dzieło unieśmiertelnić!“ pochwycili bliżéj stojący. — „Zostać polskim Delilem!“ zawołali drudzy. „Poetą dydaktycznym.“ — „Ja byłabym za sielanką,“ ozwała się jedna z dam sentymentalnych. „Scenę n. p. dać w Arkadyi — wprowadzić alegorycznych pastuszków Medora i Angielikę, — po tych gazonach, skałach i strumykach rozpuścić owieczki — kozy....“ — „Owieczki! kozy!.... piękny mi koncept! do ogrodu owieczki i kozy? aby pogryzły młode szczepy, i popsuły gazony wypielęgnowane takim trudem, takim nakładem....“ — I całe zgromadzenie parsknęło głośnym śmiechem ze starego botanika, dworaka nieznającego się na sielankowéj allegoryi. I całe zgromadzenie żartami, ucinkami rzuciło się na człowieka, który nic w życiu, nawet sztuki rymotworczéj nie czytał.

Trembecki uradowany, że go przestano nagabywać o wiersze, już przemyśliwał, jakby się odbić od tego grona, kiedy z niewymowną jego pociechą, kobieta, którą wziąłbyś za królowę piękności, za czarodziejkę tych ogrodów, z okiem dużem, żywem, jak bijące źródło, z ową białością, która jakby spalona żarem krwi, przypomina córki wschodu, — kobieta w lekkim stroju pasterki, ideał obrazów Teniera, sama niewinność złotego wieku, podała rękę poecie, mówiąc: „Zgubiliśmy hrabiego, chodźmy go odszukać!“ — i poszli oboje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O Sawie Calinskim.

Czwarty wyjątek z rękopismu do panowania Augusta III. i Stanisława Poniatowskiego, który późniéj przez Redakcyą Tygod. drukiem ogłoszony będzie. Patrz rok pierwszy pag. 107., 27., 20., 12.

Dotąd pisałem dzieła konfederacyi znaczniejszéj pod wodzami Zarembą i Puławskim, których czynności jedne z drugich wynikały, albo się z sobą łączyły. Teraz pisać będę dzieje samotnych konfederatów, którzy zosobna na swoję rękę wojowali. Takim był najznaczniejszy Sawa. Ten był synem sławnego niegdyś Sawy, pułkownika kozaków horodowych, to jest nadwornych, pogromiciela hajdamaków czyli rozbójników z Siczy; na Ukrainę osiadłą Polską co lato dla rabunku wypadających, od nich nakoniec w domu własnym na Ukra nie niedaleko od Niemirowa zamordowanego. Dziecięciem był natenczas przy piersiach nasz Sawa, gdy ojca jego pomienieni hajdamacy najechali, ukryty za piecem w dzieży chlebowéj od piastunki. Ojcowskie imie Sawa wziął sobie za przydomek i pisał się Sawa Calinski, jako świadczy manifest jego uczyniony w Płocku przeciw Panom Dromirskim o czychanie na życie swoje.

Zjawił się Sawa konfederatem i wojownikiem jakoś w rok po podniesionéj konfederacyi Wielko-Polskiéj przez Malczewskiego. Początki jego były na podobieństwo początków Morawskiego. W małéj liczbie swoich szarpał Rossyan napadaniem nocném na ich stanowiska i zbieraniem pikiet, które podchodzić umiejącemu doskonale język rossyjski łatwo było. Przebierał się w różne postaci, pod któremi przeglądał Rossyan, w jakiéj kwocie i rozkładzie stoją; a gdzie postrzegł małą ich garsztkę, albo mniéj ostrożnych, albo pijatyką zabawnych, co im się w ich Święta uroczyste, mianowicie po postach twardych podług ich religii odbytych trafiało bardzo często; wpadał na nich i mordował garsztką zamroczonych. Toż przebiegając im w marszach, uderzał na odwody, albo na przednie straże, jak mu kiedy zręczniéj było. Po dwa razy zabrał im kassę z Rossyi pod małym konwojem prowadzoną. Zmocniwszy się potém do 500 ludzi, potykał się z partyami większemi wstępnym bojem zawsze

szczęśliwie; tak że pułkownik rossyjski nazwiskiem Szuba, którego on najwięcéj pilnował, z smutku i rozpaczy umarł, że nie mogąc nigdy pobić Sawy, zawsze od niego pobitym został. Raz tylko jeden od Branickiego, Hetmana W. koronnego, został rozpędzonym, gdy konie konfederackie chwarszczeniem kitajki w chorągiewkach czyli znaczkach ułańskich i lekkich pułkach Rzeczypospolitéj zażywanych przestraszone, jako takiéj broni nieświadome, pod jeźdźcami pierzchnęły i więcéj się do sprawy skierować nie dały. Lecz wkrótce po téj przegranéj zebrał swoich Sawa, i za odejściem Branickiego z swoimi do Warszawy, zaczął po dawnemu trapić Rossyan.

Jednego razu rotmistrzowi Dobrowolskiemu kazał się nocą przeprawić na Kępę na Wiśle pod miastem Wyszogrodem leżącą, w któréni mieście znajdowało się kilka set Rossyan. Gdy się dzień rozwalił, Dobrowolski pokazał się Rossyanom, którzy się ku niemu natychmiast z miasta wysypali. Dobrowolski z pomiędzy krzaków dawał do nich ognia z ręcznéj broni przez piazdy od kół na kształt armat przyporządzone i huk armatnemu podobny czyniące. Rossyanie wzajemnie sięgali do niego z swoich armat przez Wisłę, narządzając tymczasem tratwy i sporządzając statki różne do przeprawienia się na kępę. Sawa w blizkim lesie na tę okoliczność czuwający, wpadł na nich z tyłu, pobił ich mocno, pozabierał armaty, i mało co żywych uciec dozwoliwszy, poszedł z Dobrowolskim w swoją stronę.

Nigdy się nie bawił w jedném miejscu, ale za każdą potyczką odprawioną uchodził, rozdzieliwszy żołnierza swego w różne ślaki o podal do innego województwa. Dla tego Rossyanie nigdy go doścignąć i przydybać nie mogli.

Tak wojował z Rossyanami blizko dwóch lat, nie mając innego gatunku żołnierza w swojéj kommendzie tylko samę jazdę.

Na ostatku w Szreńsku doścignióny w ciasném miejscu, nacierając na piechotę na grobli uszykowaną pod kommendą pułkownika Salmouna czyli Salmoura, kulą kartaczową został w nogę ciężko postrzelony. Ten raz nieszczęśliwy na swojego wodza zmieszał konfederatów. Uszli natychmiast z potyczki, unosząc między sobą obronną ręką i w dobréj sprawie postrzelonego Sawę, a pozbywszy się goniących Rossyan, złożyli go w jednym lesie przydawszy mu dwóch ludzi do posługi. Sami zaś trybem swoim rozbiegli się w różne strony. Rossyanie z nagléj ucieczki konfederatów wnosząc, iż wódz ich albo zginął, albo ciężko ranionym został; noc i dzień biegali po wszystkich traktach i ścieżkach, iżby którego z konfederatów ułapić mogli i dowiedzieć się doskonale, co się z Sawą stało. Tak biegając, drugiego dnia napadli na żyda cerulika prowadzonego do Sawy przez najętego szlachcica. Zrewidowany żyd, mający przy sobie instrumenta cerulickie i różne potrzeby do ran, przyznał się zaraz, że jedzie do jakiegoś pacyenta, ale sobie niewiadomego, tylko prowadzącemu szlachcicowi. Więc szlachcic zrazu tający prawdę, wzięty na batogi, gdy mu brakło cierpliwości, przyznał się, że cerulika prowadzi (ile mu wiadomo) do Sawy. Pospieszyli tedy z owym przewodnikiem do miejsca, gdzie Sawa leżał, wzięli go i przywieźli do Salmoura pułkownika, który tą zdobyczą niezmiernie uradowany został. Ten pułkownik miał za sobą Gruszczyńską sędziankę Walecką, z którą się przed dwiema laty ożenił, będąc w Wielkiéj Polszcze pod kommendą generała Apraxyna. Czyli tedy z miłości żony nad Sawą się litującéj, czyli z powodu ludzkości wojownikom nad zwyciężonymi zwyczajnéj, lubo Sawę na przywitaniu ostro przyjął (że będący z pokolenia kozackiego ważył się podnieść broń na ludzi monarchini swojéj), potém jednak czynił mu wszelkie wygody: dał mu złożenie z jednym oficerem, zalecił staranie o jego zdrowiu i przykazał swemu cerulikowi, aby go jak najpilniéj leczył. Lecz Sawa czyli unikając pożałowania, cięższą nad śmierć niewolą wróżącego, czyli też przejęty bólem i rozpaczą z tak fatalnego po szczęśliwych początkach końca, nie przyjmując żadnych łask, ani pokarmu, ani słowa nie odpowiadając mówiącym do siebie, kopiąc nogą zdrową i odpychając rękami chcących go opatrywać, piątego dnia po odebranéj ranie skonał. Pochowano go w polu pod figurą bez wszelkiego obrządku kościelnego pod Prasnyszem.

K r y t y k a.

Prolegomena do Historyozofii, rzecz napisana w języku niemieckim, przez Augusta Cieszkowskiego. Berlin, 1838.

(Ciąg dalszy.)

Jak zstąpienie starożytnego świata w Chrystyanizm szło w towarzystwie gminoruchów, odmładniających zarazem zgrzybiałość wieków, krwią młodą, tak, że duchowemu i fizyczne społem towarzyszyło przeistoczenie; podobnie też, twierdzi autor, przy przejściu drugiéj epoki w trzecią, nastąpią wędrówki ludów, ale nie dzikich do narodów oświeconych, jak ongi; lecz przeciwnie oświeconych do dzikich (str. 30.). Jeżeli z przeludnienia lub z nieukontentowania następują już, i następować będą częściowe emigracye oświeconych ludów Europejskich do krain innych części świata, mniéj ludnych i dzikich, to już i w starożytności z tych samych przyczyn, a może na rozleglejszą miarę, kolonizowali się wśród zdziczałych autochtonów, ustępujących jak dziś w głąb lasów, Fenicyanie, Egipcyanie, daléj greckie rzeczypospolite, Kartagińczykowie i Rzymianie, i obsiali osadanie wszystkie wybrzeża po nad znajoméni im na ów czas morzami. Najścia następne, i w takiéj liczbie, rozmaitéj dziczy azyatyckiéj na państwo Rzymskie, w pierwszych wiekach po Chrystusie, ważnym zaiste jest, i nie przypadkowym w historyi wypadkiem; raczéj widocznem narzędziem ducha, by materyalną siłą zgruchotawszy potęgę jednowładnego Rzymu, otworzyć nowéj idei Chrystyanizmu drogę; to jednak, że, jak sam autor utrzymuje, nie jest w mocy rozumu odgadnąć, jakiego szczegółowego środku duch użyje, ku urzeczywiszczeniu celów swoich, bo liczba tych środków jest nieskończona, nie widać i nie ma rozsądnéj konieczności, aby dla otworzenia trzeciéj epoki nastąpić miały gminoruchy oświeconych ludów.

To więc, co autor nazywa istotą, treścią, substancyą przyszłości, jest tylko abstrakcyą. Treść jest o tyle tylko treścią, o ile jest całkowitością pojawów (*die Substanz ist die Totalitaet der Accidenzen* według Hegla); tych przyszłych pojawów zarody leżą w przeszłości *(implicite)*, a pojawią się istotnie *(explicite)*, gdy przyszłość stanie się przeszłością; w przeszłości zatém tylko jest substancya przyszłości. Dla tego nie jedno jest, jak to mieć chcą prolegomena, że na ten sam sposób poznać można istotę przyszłości, jak poznajemy istotę Boga, wolności i t. p. Różnica jednego i drugiego jest wielka. Kategorya istoty *(Wesen)* jest jeszcze bardzo uboga w potęgę duchowną, jest to jeszcze *caput mortuum*, tląca dopiero życiem jakby senném, ma się tak do upełnionéj potęgi ducha, jak światło w naturze do najdoskonalszego organizmu; i dla tego samego nie zdolna wyrazić ducha czasu, którego pojmujemy w dziejach w najwyższém upełnieniu rozsądku, doskonałości i życia. Ale i ta kategorya nawet potrzebuje pojawu *(das Wesen muss erscheinen)*, bo tylko tym sposobem przychodzi treść do formy, co się obojga przenika w istnieniu. Przyszłość więc dla tego nie ma istnienia, że nie ma pojawu; a że treść nie nie jest odrębnego od pojawu, nie ma i treści, substancyi. Przeciwnie istotę Boga, wolności i innych duchowych pojęć, poznajemy z pojawów, z rzeczywistego ich w świecie istnienia. Dla każdego duchowego objawu, trzeba koniecznie zewnętrznego pojawu; bo tylko tym sposobem wszelaka duchowość z siebie rozwinąć się, i tylko na takiém tle poznaną być może. Wniosek zatém przez dyalektyczny syllogizm wyprowadzony z przeszłości na przyszłość, jest tylko formalny, jak samo poznanie czegoś przez wniosek, tylko jest formalne; i tak

n. p. wnosząc z wyrobu jakiego, że musiał być rękodzielnik, co go zrobił, nie jest jeszcze poznaniem rękodzielnika. Na taką formalność wychodzi i to, co nam autor w końcu III. rozdziału o przyszłości, w bliższém jéj oznaczeniu powiada (str. 137. i n.)

że duch dziejów ma na celu rozwinięcie w rodzaju ludzkim tego, co jest pięknèm, prawdą i dobrém; że to rozwinięcie dziejąc się w starożytności przez uczucie, w wiekach następnych przez wiedzę, w przyszłości dziać się ma przez wykonanie; — że to wykonanie będzie wynikiem woli wiedzącéj i wykonywającéj to, co nastąpić z ducha czasu koniecznie powinno; że zatém ród ludzki upiękni naturę, przyswajając ją sobie na godny przybytek ducha; że prawdę poznawać będzie nie tylko w saméj myśli, ale i w rzeczywistości wszelakich stósunków społecznego życia; że nareszcie, co będzie najwłaściwszém przyszłości dziełem, zmierzać będzie ku osiągnieniu najwyższego dobra, to jest, wolności w instytucyach socyalnych objętéj, i ukształci uobyczajenie, tak jak poprzednio ukształciło się już prawo i moralność.

Nakoniec i sam ów wniosek autora, że z onych dwóch główných pobocznic upłynionych dziejów, powstać musi świat przyszły będący ich spólnią (syntesą), nie wypełnia ani co do formy zupełnéj architektoniki ducha dziejowego. Hegel w czterech działach ujął dzieje zeszłe aż do dni jego; metoda dyalektyczna dała się i tu zastósować, bo duch nie tylko w całkowitości swojéj, ale i w każdym częściowym postępie jest dyalektyczny, jako najwyższa spólnia spólni (*synthesis syntheseon*); a ostateczny szczyt dziejów okazał się ostatecznym szczeblem samowiedzy ducha, jaka się w filozofii Hegla objawiła; bo filozofia jest objawem samowiedzenia się ducha, z którém wspólni idą dzieje, oną samowiedzą duchową przesiąkłe. Dla tego całą logikę filozofii swojéj wykazał Hegel w dziejach, i choć o przyszłości nic nie wyrzekł, bo tam, co do dziejów, nie miał po co sięgać; to też nigdzie nie twierdził, aby filozofia jego była ostateczną; ani przeczył, żeby przyszłe dzieje w duchu przyszłéj filozofii rozwijać się nie miały. Dzieje jako dzieje kończą się z każdą chwilą teraźniejszości, zamieniającą się w przeszłość, ale i tą samą chwilą czepią się przyszłości. Dla Hegla i jego filozofii były ukończone, choć nie dla przyszłych wieków, dla których część przyszłości stała się już przeszłością, dziejami.

(Dokończenie nastąpi.)

Korrespondencya.

(Dokończenie.)

W końcu udzielam Panu jeszcze niektórych wiadomości literackich. P. Hanke wydaje obecnie grammatykę polską dla Czechów. Grammatyka ta, ponieważ na podstawie słowiańskich języków, podanéj od Dobrowskiego, z względem na właściwości polskiego, jest pracowana, będzie i dla nas z wielu miar użyteczną, bo rzuci nowe światło na dwie najtrudniejsze, w naszych grammatykach wcale jeszcze nie ostatecznie wyjaśniane części mowy: rzeczownik i słowo. Cześć niech będzie zacnemu mężowi, który przy tylu rozmaitych innych pracach znalazł czas nie tylko do nauczenia się czysto mówić naszym językiem, ale i do zgłębienia go w wszystkich najdrobniejszych jego odcieniach. — Wyjdzie w tym miesiącu ostatni zeszyt ogromnego Słownika czesko-niemieckiego (na wzór Słownika Lindego) przez P. Józefa Jungmana. Olbrzymie to dzieło w 5ciu wielkich tomach, owoc jedenastoletniéj pracy, będzie najtrwalszym pomnikiem wysoce w ojczyznie zasłużonego męża. P. Jungmana można sprawiedliwie nazwać patryarchą literatury czeskiéj. On niezmordowaną usilnością, najwznioślejszemi przymiotami serca i duszy wskrzesił, wzniósł, wypielęgnował tę młodą latorośl, która dzisiaj już tak bujne niesie owoce. Podobny do lipy, która tysiące pszczół kwieciem swojém karmi, i rozłożystemi gałęziami znaczną część ziemi pożytecznym cieniem okrywa, szlachetny mąż stał się u Sławian czeskich przedmiotem powszechnego uwielbienia. Błogo zostawać w bliskości takiego męża, który jakiś święty urok i patryarchalny wpływ wywiera na przytomnych. Z równie czystą sławiańską duszą nie wielu by pewnie znaleźć można. — P. Czelakowski, znakomity poeta czeski, wydawca pieśni narodowych słowiańskich, pracuje nad Słownikiem czesko-sławiańskim, pod względem więcéj etymologicznym. Jest blizkim ukończenia i dzieło to w 4 tomach wyjdzie zapewne tego jeszcze roku z druku. Ważna to będzie praca i dla innych Sławian, ważniejsza jeszcze dla nas, którzy dwie trzecie części wyrazów z czeskiemi mamy podobnych. — P. Szafarzyka mappy ziemiopisne do starożytności sławiańskich wyjdą w tym roku. — P. Swoboda, nauczyciel pierwszéj, wzorowéj szkoły dla małych dzieci w Pradze, wydał wyborne dziełko praktyczne dla nauczania dzieci w domach ochrony, pod nazwą: Szkołka. Staraniem towarzystwa dobroczynności w Warszawie będą i tam sale ochrony dla małych dzieci jeszcze w tym roku otworzone. Wysłany kosztem towarzystwa P. Nowosielski za granicę, zwiedził w tym celu podobne zakłady w Wrocławiu, w Berlinie, w Dreźnie, w Pradze, w Wiedniu, i ma być nowéj téj szkółki pierwszym dyrektorem. Jest to piękne przedsięwzięcie, które chwałę przynosi szanownemu towarzystwu. Tyle co do literatury czeskiéj. Ale muszę Panu, chociaż to z zagranicy, donieść cokolwiek i o naszéj, co Ci może jeszcze niewiadomo.*)

Niezmordowany nasz Maciejowski w Warszawie nie ustaje w czynności i wkrótce zbogaci literaturę naszę nowemi dziełami. Z listu pisanego (15. Kwietnia) do P. Hanki, który był łaskaw mi go udzielić, umieszczam następujące szczegóły: »Pamiętniki (prawnicze) z cenzury petersburskiéj odebrałem. Nic więcéj nie przeszkadza do ich wydania. Prócz nich zamyślam wydać Pamiętniki nowe, w których będą rzeczy polskie i ruskie z 15. i 16. wieku. Składać się będą z następujących oddziałów:

1) Krytyczny rozbiór piśmiennictwa polskiego (tylko to, co pisano w ojczystym języku) uważanego szczególniéj pod względem, o ile też w sztuce pisania i oryginalności postąpiono.
2) Polska i Ruś w 15. i 16. wieku, czyli obraz domowego życia tych ludów, mający zastąpić romans historyczny.
3) Polska w 15. 16. 17. wieku uważana pod względem sporów religijnych.

Dwa pierwsze dzieła już są do połowy mniejszéj posunięte, na trzecie zbieram materyały. Wszystkie te pisma powstały z notatek, które porobiłem przerabiając tom 3. i 4. historyi prawodawstwa (aż do 16. wieku). Chciałbym, skończywszy je i wydawszy nanowo historyą prawodawstwa w 6 tomach, zgłębić życie prywatne Czechów i innych Słowian (chcieć zgłębić i literaturę toby było za wiele), lecz nie wiem, czy wystarczą siły. Jest to rzecz bardzo trudna, ale zgłębiając dzieje prawodawstwa, tyle znalazłem pięknych szczegółów naszym poetom, historykom, prawnikom nieznanych, a tak wielkie światło rzucających na cywilizacyą Słowian, że trudno jest od nich się oderwać. Dla Polski i Rusi chcę zrobić tę przysługę, ale czyż siły wystarczą i dla reszty? Prócz tego robiąc to, odrywam się od celu, a ten jest u mnie zgłębić nasze prawodawstwo historyczne.« i t. d. *W. C.*

*) O tem ważnem dziele doniósł już Tygodnik w Nr. 3. r. b.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*